

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom I - Obóz Gross-Rosen

- Zeszyt 7 - Wspomnienia więźniów**
z pierwszego transportu
z Sachsenhausen
- Wspomnienia więźniów z
Pruszkowa z walczącej
Warszawy

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel.296943**

Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1989

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Duchowa, Witold Kulisiewicz - Kierownik
Zespołu Redakcji, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna, Zdzisław Rałł,
Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman - sekretarz Redakcji,
Kazimierz Zamojski



przy współpracy:

Tadeusza Berny /Wrocław/, Michała Czebłakowa, Romana Gierki /Obor-
niki/, Jadwigi Gromackiej, Romana Konarzewskiego /Poznań/,
Stanisława Korby /Kielce/, Jana Kosińskiego i Mieczysława
Kwietnia /Lublin/, Edmunda Nawra /Bydgoszcz/, Stanisławy Nowak-
Kožuchowskiej, Henryka Króla /Jelenia Góra/, Marii Więckowskiej-
Malec, Janusza Marczyńskiego, Zbigniewa Mazurka /Wrocław/,
Zygmunta Mikołajczyka - prezesa Klubu Gross-Rosen, Alojzego
Nowickiego /Inowrocław/, Tadeusza Piorkowskiego, Bogdana
Wierzejewskiego, Leszka Wolińskiego /Ząbkowice Śl./, Julii
Wroczyńskiej, Władysław Walczak /Kalisz/ i Natalia Mazurkiewicz

Projekt okładki: Włodzimierz Kern

SPIS TREŚCI

	str.
Od redakcji	4
Wykaz autorów wspomnień I Tomu	5
1. Stanisław Wądołowski - 64 dni w Gross-Rosen	7
2. Stanisław Wójciak - W pierwszym transporcie z Sachsenhausen	23
3. Edward Węgorzewski - Byłem pierwszym więźniem Gross-Rosen	26
4. Jan Moczydłowski - Ze Starówki do Gross-Rosen	33
5. Stanisław Milczarek - Z walk powstańczych przez Pruszków do Gross-Rosen	36
6. Henryk Uchman - Częściowy wykaz transportu z 5 września 1944 roku	42
7. Tadeusz Biernacki - Z warszawskiego powstania do Gross-Rosen	64
8. Henryk Uchman - Drugi wrześniowy transport z Pruszkowa	67
9. Henryk Uchman - Częściowy wykaz transportu z 18 września 1944 roku	74

64 DNI W GROSS-ROSEN

W dniu 2 sierpnia 1940 roku, w godzinach przedwieczornych, na południowo-zachodni stok kamiennego płaskowyzu, położonego w kierunku południowym w odległości około 3 kilometrów od małej osady Rogoźnica /dawniej Gross-Rosen/, w województwie wałbrzyskim, przyjechały cztery wielkie samochody, których potężne platformy, okryte były szczelnie naciągniętymi, brezentowymi plandekami.

Na ściernisku, po sprzątniętym owsie, przy wąskiej drożynie, prowadzącej z Rogoźnicy, na obszernym skłonie, stały dwa, nowo zbudowane baraki, przy czym jeden z nich ogrodzony był drutem kolczastym z płacykiem w formie przybliżonego kwadratu o bokach około sześćdziesięciu metrów.

Na czterech rogach ogrodzenia zbudowane były wieże drewniane, z zainstalowanymi na nich reflektorami i ciężkimi karabinami maszynowymi. Drugi barak znajdował się poza ogrodzeniem, pod skalnym tarasem, nieopodal olbrzymiego dębu. Dalej, w kierunku północnym teren wznosił się dość dużą stromizną, pokrytą bujnym, iglastym lasem. Gdzieś niedaleko, spośród poszycia leśnego wystawały zręby postrzępionych skał, porośniętych zielonkawymi płatami mchów.

W chwilę po zatrzymaniu się samochodów, rozbrzmiały w tym odludziu wściekłe wrzaski esesmanów: "Los! Los! ihr Drecksäcke" /prędzej, prędzej, worki gnoju/, a razy karabinów, walenie podkutymi butami, towarzyszyły wysiadanemu z samochodów pierwszego transportu więźniów, przybyłych z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Ta pierwsza grupa składała się z 98 Polaków z tzw. transportu radomskiego, przybyłego do Sachsenhausen w dniu 17 lipca 1940 roku.

Do grupy, przed odjazdem z Sachsenhausen, dołączono dwóch więźniów kryminalnych, Niemców, którzy przewidziani byli na funkcję kucharza i starszego bloku /Fritze i Peter/.

Tak rozpoczął swoją działalność jeden z najstraszliwszych obozów zagłady, obóz koncentracyjny Gross-Rosen. Początkowo podlegał administracyjnie obozowi w Sachsenhausen, lecz już w 1941 roku został usamodzielniony.

x x x

Do Sachsenhausen przywieziono mnie 17 lipca 1940 roku z więzienia gestapo z Piotrkowa Prybunalskiego. W pamięci mojej wśród wielu innych **najpotworniejszych** przeżyć, tkwi ciągle dzień 1 sierpnia 1940 roku.

W dniu tym, po odbytej kwarantannie w tzw. małym obozie w Sachsenhausen, po apelu porannym, przed barak nr 39, w którym byliśmy umieszczeni, przyszli esesmani "Blockführer /dowódca bloku/ i wrzaskiem oznajmili nam, że fachowcy mogą zgłaszać się na ochotnika na wyjazd z obozu do robót w swoich zawodach. Wydawało nam się wtedy, że uśmiecha się do nas niewypowiedziane szczęście.



Tomaszów Mazowiecki, 16 lipca 1940 roku

Wyprowadzeni z cel na dziedziniec więzienny mieszkańcy Tomaszowa przed wymarszem na dworzec kolejowy do transportu. Przybyli oni razem z więźniami z Piotrkowa Trybunalskiego-transportem zbiorczym do Sachsenhausen. Na zdjęciu rozpoznani przez Stanisława Wójciaka: Kazimierz Kozłowski, Stanisław Frankiewicz, Zaczekiewicz, Cychnerowie (ojciec i syn), Bogdan Chęciński, Abram Aizman-grabarz i Baran. Zdjęcie wykonano konspiracyjnie z okna miejscowej poczty. Autor zdjęcia anonimowy. (Ze zbiorów S. Wójciaka)

Nr archiwum Gross-Rosen 1.2.6.

Po parotygodniowych przeżyciach w tzw. "małym obozie" w Sachsenhausen, gdzie odbywaliśmy kwarantannę, z naszej piotrkowskiej grupy liczącej 37 więźniów zostało już trzech w bistalski sposób zamordowanych. Wśród nich znajdował się Prezes Sądu Okręgowego w Piotrkowie Trybunalskim, Marian Angiew, człowiek o wielkim sercu i charakterze ducha.

Stałem w szeregu obok Edka Węgorzewskiego, radnego Miejskiej Rady w Piotrkowie, majstra budowlanego, z którym od czasów pobytu w więzieniu i wspólnej walki w szeregach Z.W.Z., łączyły mnie bliskie stosunki przyjaźni.

Trąciłem go w bok i szepnąłem: "Edek, jedziemy"! Byle wyrwać się z tego piekła, uciec gdziekolwiek od tego koszmaru, nie kończącego się "sportu", polegającego na wymyślnych torturach, tarzaniu się, skakaniu żabką i biciem, biciem, biciem. Edek jak echo odszepnął: "Jedziemy"!

Jak złudne były nasze marzenia, przekonaliśmy się wkrótce.

Po skończonym apelu zebrano nas wszystkich zapisanych na wyjazd w baraku nr 40 i oświadczono, że jutro rano wyjedziemy samochodami z obozu. Oczywiście, żadnych innych szczegółów nam nie podano, ani celu podróży, ani rodzaju prac. Wydano nam z magazynu nowe pasiaki i skórzane buty. Dano nam również po bochenku półtorakilogramowego chleba na dwóch i po kawałku końskiej kiełbasy.

Było nas 98 Polaków, w tym dwóch Żydów polskich.

Wieczorem tego dnia, nie zapisani na wyjazd, przenosili się na tzw. "duży obóz", z przydziałem do grup roboczych. Głównie - do najcięższych prac przy budowie dróg, karczunku lasów, wyładowywaniu barek z cementem, w fabryce klinkieru i kopalniach gliny.

Z naszej, piotrkowskiej grupy, zapisanych zostało na wyjazd trzech: - ja, Edek Węgorzewski i Staszek Kołodziejczak - prawnik.

Wieczorem, po ostatnim apelu na małym obozie, żegnaliśmy się serdecznie z całą naszą grupą. Ogarnął nas żal, a w sercach naszych zaczęły pojawiać się bolesne uczucia rozłąki z kolegami, z którymi się już tyle przeżyło. Jednocześnie jakieś straszne przeczucia i lęk przed nieznanym, przed losem niewiadomym, który jak nieubłagane przeznaczenie stanął przed nami. Wielu z żegnanych wtedy kolegów nie ujrzeliśmy już nigdy.

Zaczęto szeptać, jakoby starzy Niemieccy więźniowie mówili, że jedziemy gdzieś do kamieniołomów, do budowy nowego obozu koncentracyjnego.

Poświadczenie, nie chcieliśmy wierzyć w to, pragnęliśmy jednak polepszyć nasz los.

W nocy, leżąc na barłogu już w baraku nr 40, pomimo potwornego zmęczenia, sen jednak nie przychodził. W stęsknionym sercu odżyły wspomnienia domu, kochanych twarzy, a w mózg wierał się lęk przed nieznanym. Tak, jakby najbliższa przyszłość przedstawiała się białą, niezapisaną kartą. Co w niej zapiszą - co? Błady brzask zaczął powoli wsączać się w okna i wraz z gongiem na placu apelowym, rozległy się wrzaski: "Aufsachen, Los, los"! /wstawać, szybko, szybko/. Zaczął się szaleńczy wyścig do mycia, słania barłogów, sprzątanina, zamywania, a wszystko przy piekielnym wrzasku i biciu, przez barakową służbę porządkową, składającą się z niemieckich więźniów kryminalnych.

Po wypiciu około pół litra gorącego, gorzkiego płynu, zwanego kawą, parzącego usta, ciągle popędzani, bici, przy dzikich, zwierzęcych wrzaskach, ustawiliśmy się piątkami przed barakiem. Przyszli esesmani, komendanci baraków, starszy bloku zdał raport o stanie obecnych i przy absolutnej ciszy z głowami odkrytymi, czekaliśmy na dalsze rozkazy. Wkrótce potem "Mutzen auf" /czapki włoż/, oznajmiło zakończenie oficjalnego apelu.

Zaraz też, rozległ się wrzask odczytywanych numerów z listy, zapisanych wczoraj na transport - "na roboty", jak myśmy to sobie układali. Sformowano z nas grupę, wyprowadzono z małego obozu i ustawiono przed główną bramą wejściową - "am Tor" - jak to nazywało się w języku obozowym. Byliśmy sami Polacy i dwóch Żydów - razem 98 osób.

Wszyscy - więźniowie polityczni, przywiezieni do Sachsenhausen, z więzień w Radomiu, Kielcach, Piotrkowie Trybunalskim i Tomaszowie Mazowieckim. W ogromnej większości, członkowie organizującego się Z.W.Z., lub podejrzani o przynależność do ruchu konspiracyjnego, który szczególnie wiosną 1940 roku, zaczął bujnie rozwijać się na terenie tzw. dystryktu radomskiego. Do stojącej pod bramą grupy, dołączono dwóch więźniów, Niemców, mających na pasiakach trójkąty, co oznaczało zawodowych przestępców tzw. "Berufsverbrecher". Mieli oni spełniać rolę naszych wychowawców i nauczycieli.

Ostatnie spojrzenie na baraki, które półkolem otaczają rozległy plac apelowy, spojrzenie na wielkie, białe litery wypisane na frontonach tych baraków, odczytywanie nie wiadomo po raz który sentencji i znaczenia zdań, utworzonych z tych liter: "Es gibt einen Weg zur Freiheit. Seine Meilensteine beisehen: Gehorsam, Fleiss, Ordnung, Ehrlichkeit, Sauberkeit, Nüchternheit, Wahrhaftigkeit, Opfersinn und Liebe zum Vaterland".

/Istnieje jedna droga do wolności. Jej kamienie milowe zwą się: posłuszeństwo, pilność, porządek, rzetelność, czystość, trzeźwość, prawdomówność, ofiarność i miłość Ojczyzny/. Jakże obłudny ten cytat wypisany przez morderców, wykazywał perfidię hitlerowskiego systemu. Już kilka tygodni pobytu naszego w obozie wystarczyło, aby wyrobić sobie pogląd o jego zupełnie jednoznacznym przeznaczeniu.

x x x

Samochody, obciążone brezentowymi plandekami, szybko mknęły autostradą Berlin - Wrocław. W każdym jadą więźniowie w pasiakach, po 25 osób, plus 5 uzbrojonych esesmanów - jako eskorta. Oprócz tego, dwa samochody osobowe z esesmańskim kierownictwem przyszłego obozu.

Podczas przejazdu przez Berlin, poprzez szpary uchylających się plandek spostrzegamy ulice wielkiego miasta z napisami jego nazwy, migają nam sklepy, różne instytucje oraz tablice z kierunkami i wypisanymi na nich odległościami do innych miast. Orientowaliśmy się już, że jedziemy ciągle w kierunku południowym. Po okrążeniu Wielkiego Berlina poprzez tzw. "Berliner Ring", wyjechaliśmy na autostradę Berlin - Wrocław.

Ze skąpych słów, wymienianych między sobą przez eskortujących nas esesmanów, wywnioskowaliśmy, że jedziemy budować jakiś nowy obóz w kamieniołomach koło Legnicy. Nadzieje nasze, jeszcze wczoraj tak optymistyczne, zamieniały się w przygnębienie i lęk przed nieznany, a sądząc z urywków zdań rzucanych przez eskortę, malowały nam już wyraziście wizję przyszłego, naszego losu. Wiedzieliśmy już z całą pewnością, że jedziemy do kamieniołomów, że jesteśmy pierwszą setką więźniów, która rozpocznie budowę nowego obozu koncentracyjnego. Nie mogliśmy rzecz jasna, porozumiewać się między sobą, gdyż przy najmniejszym szepcie konwojenci wrzaskiem nakazywali milczenie nie szczędząc razów kolbami karabinów i kopniaków, podkutymi butami.

Siedziałem ściśnięty koło Edka Węgorzewskiego i Bolka Białka z Tomaszowa Mazowieckiego. Wymienialiśmy między sobą tylko wieloznaczące spojrzenia, które w zupełności zastępowały nam mowę. Rozumieliśmy się doskonale.

Po pewnym czasie, usłyszeliśmy od czoła kolumny, niezrozumiałe dla nas krzyki. Auto zaczęło hamować i wkrótce zatrzymało się zupełnie.

Konwojenci - oczywiście wrzaskiem - oznajmili nam, że wydany został rozkaz na przerwę w drodze, na załatwienie czynności fizjologicznych i krótkiego odpoczynku dla dozorujących nas esesmanów. Jednocześnie rozległ się wrzask: "Rraaus! Aussteigen"! /precz, wysiadać/. Zaczęliśmy zeskakiwać na ziemię - popychani i kopani przez esesmanów. Kierowano nas na prawą stronę drogi, gdzie znajdował się niewielki placik oznaczony dużą literą "P" - miejsce dla zatrzymywania się jadących aut. Oczywiście - zaraz zostaliśmy otoczeni przez łańcuch posterunków i w znajdujących się w leśnym parkingu ustępach, dozwolono załatwiać nam kolejno, swoje potrzeby.

Po upływie kilkunastu minut, kazano nam ładować się z powrotem do samochodów i po skrupulatnym przeliczeniu, sprawdzeniu stanu więźniów, kolumna ruszyła dalej.

Na słupach, z nazwami miast odczytaliśmy nazwę miasta - "Cottbus". A więc, wjeżdżaliśmy na Dolny Śląsk.

Tablice wskazywały kierunek "Breslau 119 km".

Na rozjazdach dróg przed Legnicą, kolumna skręciła na prawo, zjeżdżając z autostrady na drogę boczną, wyłożoną asfaltem.

Po kilkunastu kilometrach jazdy, wjechaliśmy do jakiegoś miasteczka, którego nazwy nie udało nam się wtedy odczytać. Dziś wiem, że był to Jawor.

Jechaliśmy dalej, ciągle na południe.

Po kilkunastu minutach wjechaliśmy do następnej osady - auta zaczęły hamować i wreszcie zatrzymywać się.

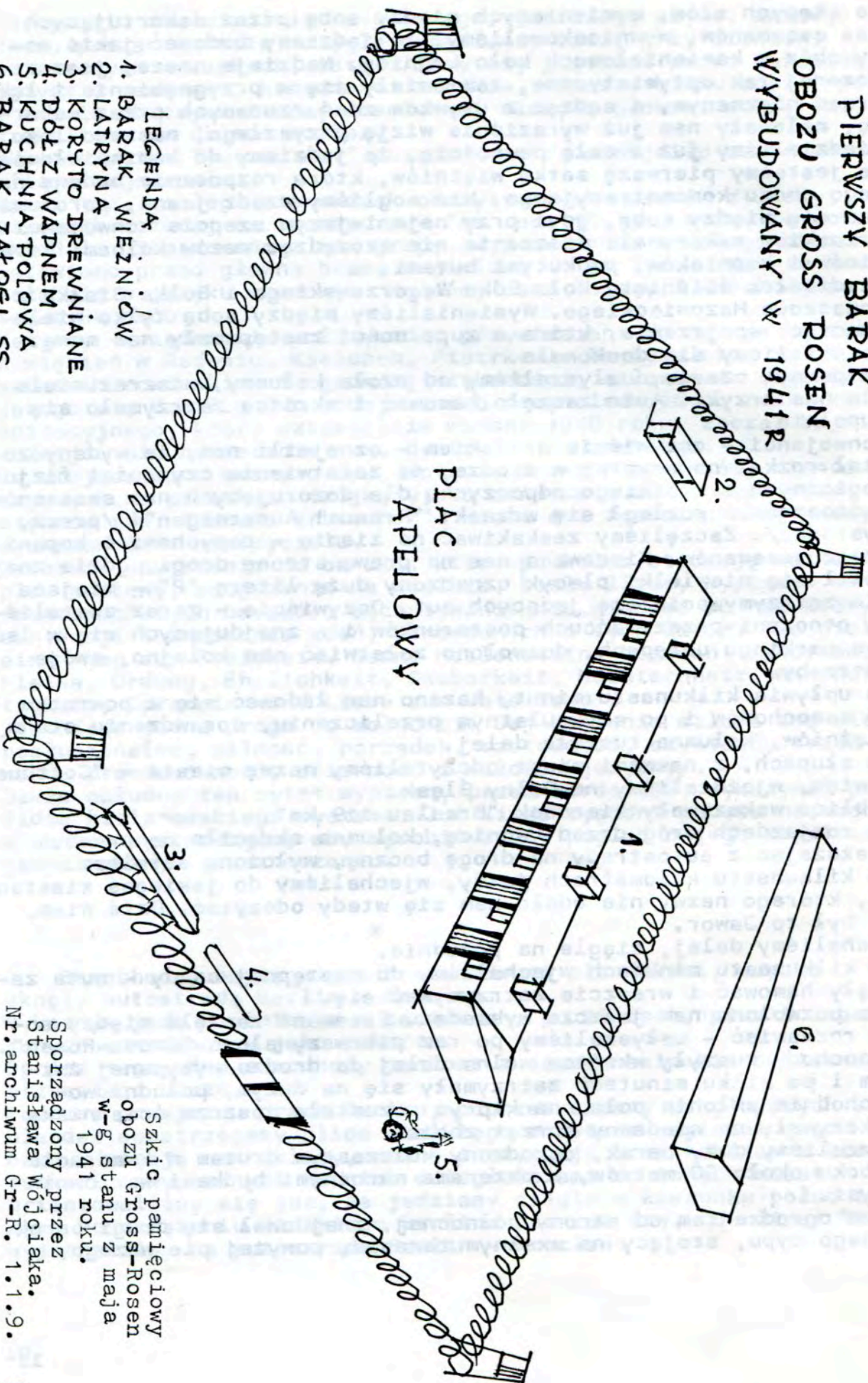
Nie pozwolono nam jeszcze wysiadać. Esesmani zaczęli między sobą rozmawiać - usłyszeliśmy po raz pierwsze słowo "Gross-Rosen". Samochody ruszyły wkrótce wolno dalej po drodze wysypanej żwirem i po kilku minutach zatrzymały się na dużym, południowo-wschodnim skłonie pola, na którym pozostałe jeszcze ścierniska wskazywały na niedawny sprzęt zboża.

Ujrzelśmy duży barak, ogrodzony kolczastym drutem w kwadracie o boku około 60 metrów, z czterema narożnymi budkami wartowniczymi.

Poza ogrodzeniem od strony północnej, znajdował się drugi barak, innego typu, stojący na skalnym tarasie, powyżej pierwszego,

PIERWSZY BARAK OBOZU GROSS ROSEN WYBUDOWANY W 1941 R

- LEGENDA
1. BARAK WIEZNIÓW
 2. LATRYNA
 3. KORPITO DREWNIANE
 4. DÓŁ Z WAPNEM
 5. KUCHNIA POLOWA
 6. BARAK ZAŁOGE SS



Szkic pamięciowy
oboza Gross-Rosen
w-g stanu z maja
1941 roku.
Sporządzony przez
Stanisława Wójcika.
Nr. archiwum Gr-R. 1.1.9.

osłonięty od północy dość bujnym lasem, pokrywającym skalne wzniesienia kamieniołomów.

Kazano nam wysiadać z aut, ustawiono przed bramą w ogrodzeniu, przeliczono i nowo mianowany Lagerführer SS Oberschärführer Anton Thumann, wygłosił do nas przemówienie, mniej więcej takiej treści: "Przyjechaliście tutaj budować nowy obóz. Po was będą przychodziły następne transporty więźniów. Będziecie wydobywać cenny granit dla potrzeb Wielkiej Rzeszy. Wy - jako niższa rasa - podludzie, musicie ze wszystkich sił pracować i tylko pracować. Ociąganie się w pracy, niedbałe jej wykonywanie, będzie natychmiast surowo karane, do śmierci włącznie. Udacie się teraz do baraku, gdzie przydzielone zostaną wam miejsca do spania, oznajmiony zostanie regulamin obozowy, a po zjedzeniu kolacji i skończonym apelu wieczornym, nastąpi sen i nocna cisza".

Był wtedy piękny, słoneczny dzień 2 sierpnia 1940 roku, godzina około szóstej po południu.

Wchodziliśmy do ogrodzenia, popędzani, bici i poszturchiwani przez esesmanów. Na wieżach wartowniczych zaciągnięte zostały posterunki, a wycelowane lufy broni maszynowej w środek ogrodzonego drutem kolczastym baraku i wznoszące się od północy strome i dzikie skały granitowych kamieniołomów zdawały się nam mówić: "Tu nie ma żadnej nadziei".

Rozpoczął się dla nas nowy okres w naszym życiu.

Na mapie znalazł się również nowy punkt - miejsce zagłady i wyniszczenia wielu, wielu tysięcy niewinnych ludzi.

x x x

Leżałem na barłogu ze słomy, na ziemi. Obok mnie z jednej strony mój nieodstępny druh Edek Węgorzewski, z drugiej Bolek Białek.

Pomimo okrutnego zmęczenia, sen jednak nie przychodził. Cichutko wymienialiśmy między sobą uwagi, Nie mieliśmy jednak nic pociesającego sobie do powiedzenia. A jednak, podświadomie w każdej naszej myśli tkwiła jakaś nieokreślona wola i wiara w przetrwanie tego piekła. Przewijały się przez nasze myśli i uczucia wizje historii tej ziemi. Wszak jesteśmy na prastarych ziemiach słowiańskich, wydartych nam w krwawy i bestialski sposób.

Czy myśleliśmy wtedy, że po niewielu latach wrócimy tu znowu? Wrócimy jako wolni ludzie, prawowici włodarze tej ziemi?

Szeptaliśmy wtedy moim druhom: "Muszą nastąpić klęska faszyzmu. Powrócimy na te odwieczne polskie ziemie"!

Tymczasem, tylko myśli nasze niby posłanki utęsknionych serc biegły na wschód do naszych bliskich, a tak dalekich.

Tak skołatani w tej straszliwej rzeczywistości, zasnęliśmy na naszych legowiskach. Błady brzask sierpniowego dnia zaczął się czyścić się przez wrota baraku, gdy rozległy się wrzaski: "Aufstehen, aufstehen, los, los!" /wstawać, wstawać, szybko, szybko/. Nowa "Stubendienst" /służba porządkowa izby/ - dwóch przybyłych razem z nami więźniów Niemców, zawodowych przestępców, pod wodzą esesmana, obejmowała nad nami rząd dusz.

Rozpoczęła się beładna kotłownina, ubieranie się, sianie barłogów, a wszystko przy wrzasku, poszturchiwaniu i biciu umęczonych ludzi.

Jak już wspomniałem, barak w którym nas umieszczono, nie był barakiem typu mieszkalnego z izbami i oknami. Posiadał dwie wielkie hale, do których wchodziło się przez wielkie wrota o dwóch skrzydłach, otwieranych nazewnątrz.

W jednej z tych "sztub" umieszczono połowę więźniów, w drugiej - pozostałą. Moja "sztuba" miała literę "A" - druga zaś "B".

W odległości kilkunastu metrów od baraku, prostopadle do niego, wybudowane było drewniane koryto długości około 10 metrów, szerokości i głębokości około pół metra oparte na betonowych słupkach z niewielkim spadkiem do wykopanego na końcu dołu, w którym znajdowało się niegaszone wapno. Dół był głęboki na około trzy metry, boki jego posiadały około dwóch metrów długości. Urządzenie to, służyło nam jako umywalnia i jednocześnie "zlewozmywak", do mycia łyżek i menażek. Wodę do tej swoistej "wanny" dowożono beczkami na wozie ciągniętym przez więźniów.

W południowo-zachodnim rogu ogrodzenia znajdował się wykopany rów z umocowanym nad nim drągiem, osłonięty deskami pokrytymi papą, spełniający rolę ustępu. Na drągu, mogło usiąść jednocześnie pięć, sześć osób.

W latrynie urządzali sobie esesmani zabawy z więźniami. Esesman wpadający do latryny uderzeniem kija strącał siedzących na drągu do dołu. Skutki tych zabaw były dla ofiar tragiczne.

Pierwszy, poranny apel, odbył się przed barakiem, po śniadaniu, na które składała się niewielka, może pół litrowa ilość jakiejś cieczy, zabielonej odciąganiem mlekiem. Miała to być mleczna zupa.

Za barakiem od strony wschodniej, stała kuchnia polowa pod niewielkim daszkiem i magazynkiem na artykuły żywnościowe.

Po skończonym śniadaniu, sformowano kolumnę roboczą i zaczęło się rozdzielanie pracy.

Kilku więźniów, znających biegle język niemiecki, przydzielono do pomocy w kuchni i innych prac porządkowych w obejściu baraku. Znałem trochę niemiecki, ale nauczony już doświadczeniem zgłaszania się na ochotnika, nie przyznawałem się do tego. Pomaszerowałem zatem, z całą resztą do grupy roboczej tzw. "Schachtkolonne" - grupy robót ziemnych. Była to wówczas jedna praca - polegała ona na przygotowaniu terenu pod budowę baraków dla nowego powstającego obozu.

Dozorcą /Vorarbeiter/ z grupy więźniów został, przybyły razem z nami, wspomniany już więzień - Niemiec Peter, który jednocześnie pełnił też funkcję starszego bloku /Blockältester/.

Dobrał on sobie do pomocy przy robotach ziemnych jednego z więźniów o imieniu Janek, którego nazwiska już nie pamiętam. Pochodził podobno ze Skarżyska i jak sam o sobie mówił był pochodzenia niemieckiego. Był to osobliwy sługa swych panów i dał się nam w swej gorliwości służalczej dobrze we znaki.

Po uporządkowaniu spraw "organizacyjnych" wyprowadzono nas z ogrodzenia, zappatrzywszy uprzednio w kilofy, łopaty, szpadle, nosze i taczki. Na południowym skłonie terenu, o podglebiu skalistym, tam, gdzie powstał później tzw. "mały obóz", wytyczone były palikami zarysy baraków, placyków i alejek. Jakiś cywilny Niemiec, chyba majster z opaską na rękawie, zaczął rozstawiać poszczególne grupy więźniów instruując o formie i sposobie pracy. Chodziło głównie o zdejmowanie nakładu ziemi ze skalistego podłoża, odnoszenia jej na formujące się tarasy, niwelowanie te-

renu, co wymagało kucia skały, dla otrzymania poziomej płaszczyzny.

Otoczył nas łańcuch esesmańskich posterunków z psami. Rozpoczęło się piekło na ziemi. Przy nieustannym wrzasku i biciu kopaliśmy ziemię i kuliśmy skałę, a musiało odbywać się to w ciągłym ruchu i biegu /Laufschritt/, bez odrobiny wytchnienia bez chwili odpoczynku. Pod okiem Petera i jego pomocnika Janka, "Hansa" jak kazał nazywać się ów kolega nasz - padaliśmy, ryliśmy skałę, ładowaliśmy taczki i biegiem, biegiem, woziliśmy je na wskazywane nam miejsca, wracaliśmy do swoich stanowisk i z powrotem i znów ładowaliśmy, kuliśmy granit, bici, pokrwawieni, zaszczuci.

Tak rozpoczął się pierwszy dzień w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen. O godzinie dwunastej, uderzenia w wiszącą, stalową szynę koło kuchni, zwiastowały przerwę obiadową.

Ustawieni piątkami, pokrwawieni i pobici, pomaszerowaliśmy z obowiązkowym śpiewem, którego nauczono nas na kwarantannie z Sachsenhausen "Willkommen frohe Sanger" /witajcie weseli śpiewacy/, do ogrodzonego obozu.

Obiad składał się z niepełnego litra wodnistej zupy z liści jarumu z niewielkim dodatkiem liści buraczanych oraz trzech do czterech ziemniaków z łupinami o tej porze roku, już prawie nie jadalnych. Wydawanie jedzenia odbywało się na placu przed barakiem, do którego nie pozwolono nam wchodzić.

Obiad trwał niespełna pół godziny. Odbyła się znowu zbiórka kolumny, wymarsz za ogrodzenie i zaraz pierwszego dnia, otoczeni przez kordon esesmanów poszliśmy w kierunku północnym, odwrotnym od naszego miejsca pracy - w stronę kamieniołomów.

Ujrzelśmy po raz pierwszy olbrzymie sztolnie, wyrobiska, budynki i hale. Zrozumieliśmy, że te ponure i dziko wyglądające, poszarpane skały, staną się dla nas i wielu tysięcy przybyłych po nas ludzi, grobem, straszliwym miejscem wyniszczenia.

Lecz nie było czasu na refleksje. Zaprowadzono nas przed wielkie złomowisko granitowych bloków i każdemu kazano wziąć na ramię bryłę kamienia. Sformowano znowu kolumnę, kierując ją w stronę naszego miejsca pracy. Trudno było dźwigać te kamienie. Obolałe, okaleczone ręce i barki nie wytrzymywały ciężaru, sił również już nie starczało, gdyż pobyt w obozie, a przedtem gestapowskie więzienia i krwawe przesłuchania zniszczyły już w poważnym stopniu nasze organizmy. Głód i katorżnicza praca - dokonywały reszty. Byliśmy już wyczerpani i wygłodzeni - dźwiganie takich ciężarów przerastało nasze siły. Toteż, ten pierwszy marsz z granitowymi blokami stał się szczytem naszych udręczeń. Wielu pod ciężarem kamieni padało. Musieli zrywać się natychmiast pod gradem razów zadawanych kijami, kopniakami i kolbami karabinów, przez eskortujących esesmanów. Krzyki, wyzwiska i jęki bitych i maltretowanych ludzi, niosły się głośnie echem w tym dzikim, skalnym odludziu. Tak doszliśmy do miejsca naszej pracy i na wskazanych odcinkach składaliśmy przyniesione głazy. Służyć one miały jako materiał na fundamenty pod zręby baraków, których gotowe elementy zwożono już na plac budowy. To dźwiganie kamieni odbywało się odtąd codziennie, w południe, lub po skończonej pracy przed apelem wieczornym.

O godzinie szóstej wieczorem, pierwszy dzień pracy dobiegł końca. Nieludzko zmęczeni i wyczerpani, wróciliśmy do baraku. Pe-



"Wymarsz na plac budowy, ta sama katorżnicza praca, bez wytchnienia, w spiekocie słońca, bez odrobiny wody i możliwości jakiegokolwiek wypoczynku "... (St. Wądołowski).

Pierwsze prace niwelacyjne pod budowę baraków przyszłego obozu Gross-Rosen.

Nr archiwum 1.4.16.4.

ter - starszy obozu, miał prowizoryczną, niewielką apteczkę z podstawowymi środkami opatrunkowymi. Najbardziej pokaleczeni, mogli zgłaszać się do opatrunków. Polegały one na polaniu skaleczonego miejsca jakimś żrącym płynem i zawinięciu papierowym bandażem.

Na kolację dostaliśmy po dwadzieścia dekagramów chleba, parogramową kostkę margaryny i odrobinę marmelady lub melasy. Otrzymaliśmy również po pół litra kartoflanej zupy. Była to wówczas dla nas prawdziwa uczta.

Leżąc na swoich barłogach rozważaliśmy naszą sytuację.

Wyraźność i przeraźliwość stawała nam przed oczyma okrutna rzeczywistość. Tu nikt nie wytrzyma dłużej niż parę tygodni. Mordercza praca, głód i warunki bytowania złamią najsilniejsze organizmy i zniszczą najtwardsze nawet charaktery.

Dzień następny zaczął się już według ustalonego porządku. Wstawanie o świcie, mycie się, picie gorącej lury, a wszystko biegiem, biegiem z piekielnym wrzaskiem, biciem, nieopisanym terrorem.

Wymaraz na plac budowy, ta sama kartorżnicza praca, bez wytchnienia, w spiekocie słońca, bez odrobiny wody i możliwości jakiegokolwiek odpoczynku.

I tak zaczęły nam płynąć dni podobne do siebie jak kropla do kropli. Instynkt samozachowawczy wyostrzył się u każdego do tego stopnia, że każde nadchodzące niebezpieczeństwo prawie że z góry było przewidziane. Zbliżanie się esesmana, wywoływało hasło: "ogień" - oddalanie się "woda". Zaczęła się rozpaczliwa walka - walka prawie beznadziejna, o przetrwanie, o przeżycie do południa, do wieczora i było trochę odpoczynku na swoim barłogu, byle trochę snu i zapomnienia.

Opadaliśmy jednak z dnia na dzień z sił. Głód zaczął dawać się we znaki. Nogi zaczęły puchnąć i pokrywać się ropniami, biegunka obejmowała coraz większą ilość więźniów.

Na apelu porannym było coraz więcej "muzułmanów" /wychudzony do ostateczności więzień/. Lecz do roboty trzeba było wychodzić bezwzględnie. Klimat nie był równieź dla nas łaskawy. W dzień upał, suchy i porywisty północno-zachodni wiatr, niosący tumany pyłu, zaś w nocy, niskie temperatury niemiłosiernie dokuczały naszym, wyniszczonym organizmom.

x x x

W drugiej połowie sierpnia zdarzył się wypadek, który przeszedł do historii obozu.

W południe, jak zwykle, gdy zabrzmiał sygnał na przerwę obiadową, kolumny robocze ustawiły się piątkami i wymaczerowały do ogrodzenia obozowego. Straże zostały ściągnięte i tzw. "Postenkette" zlikwidowana. Dotychczas nie było liczenia na placu budowy stanu liczebnego więźniów i po przybyciu kolumny do ogrodzenia, łańcuch posterunków przestawał istnieć. Podczas wydawania obiadu usłyszeliśmy jakieś krzyki, ujrzelśmy wybiegających z baraku esesmanów z psami, powietrzem targnęły strzały broni maszynowej. Ujrzelśmy, jak w kierunku południowym, po rozległym skłonie ku strumykowi i zarośłom, biegł więzień. Widoczny był jak na dłoni. Zanim psy dobiegły go już wcześniej został trafiony kulami.

Podczas pracy, schował się do wykopanego na placu budowy rowu, przykrytego jakimś płatem części baraku i po odmaszerowaniu grup roboczych i ściągnięciu posterunków, rzucił się do ucieczki. Swoje umiłowanie wolności przypłacił niestety życiem. Przyniesiono go wkrótce do obozu, rzucono przed wrotami i przy wyjściu naszym do pracy kazano patrzeć na zwłoki. Oddawaliśmy mu w milczeniu hołd, jako pierwszemu, poległemu naszemu koledze. Wypadek ten wpłynął na nas wszystkich bardzo przygnębiająco. Zdawali sobie sprawę, że w krótkim czasie czekać nas może wszystkich taki sam lub podobny koniec.

Jakoż nie musieliśmy czekać długo.

W parę dni po tym wypadku, po wieczornym apelu przy myciu menażek w korycie, wynikła między więźniami jakaś sprzeczka. Ktoś się spieszył, ktoś kogoś odpychał. Dyżurny esesman widząc jakieś zamieszanie wpadł między więźniów i zaczął walić drągami w prawo i w lewo. Chwycił jednego z więźniów, zaczął go okrutnie tłuc, a gdy ten upadł na ziemię, zbrodniarz, kopiąc go butami toczył wzdłuż koryta w stronę dołu, znajdującego się na jego końcu. Gdy już ofiara bestialskiego sadysty wpadła tam, morderca kijem zanurzył biedaka w gęstej, brudnej, zmieszanej z wapnem i pomyjami cieczy i tak długo trzymał go pod powierzchnią, aż nieszczęśnik przestał dawać znaki życia.

Odtąd, coraz to częściej po apelu porannym wielu pobitych, wynędzniałych i zaropiałych ludzi, nie mogło już wyjść do pracy. W obozie nie było wtedy żadnego szpitalika, czy chociażby coś w rodzaju izby chorych. W baraku esesmańskim był jakiś esesman sanitariusz, ale więźniami nie interesował się wcale. Zabierano wtedy "muzukmanów" i pod eskortą prowadzono na pobliskie łąki, celem zbierania pokrzywy na zupę dla więźniów.

x x x

Na budowie dokonywały się zmiany. Montowano już zręby kilku baraków. Zaczęto brać więźniów do tej pracy. Pierwszemu z mojej paczki, któremu udało się "wkręcić" do niej, był Staszek Kołodziejczak. W kilka dni później - Edek Węgorzewski. Mnie i Bolekowi Białkowi - nie udało się to jednak. Ryjemy nadal skalistą ziemię wozimy taczki, kopujemy doły. Robota przy montowaniu baraków jest lżejsza. Szkoda, że nie możemy dostać się do niej, cieszymy się jednak, że dwaj nasi przyjaciele mają już lżejszą pracę. Może i do nas uśmiechnie się szczęście. Tymczasem sił nam ubywa coraz bardziej. Straszliwy głód nie pozwala myśleć o czym innym. Gdy leżymy w swoich legowiskach Bolek zawsze zaczyna: "Staszek - wyobraź sobie wielki półmisek naleśników z serem, polanych roztopionym na złocisty kolor masłem. Bierzesz i bierzesz z tego półmiska i jesz ile tylko chcesz". Nie wiem dlaczego, ale zawsze marzył o tych naleśnikach. Ja natomiast, marzyłem o pełnym wiadrze kartofli z łupinami. Rozmowy te wycieńczały nas do reszty.

x x x

I tak nadszedł wrzesień roku 1940. W drugiej jego połowie zaczęło ubywać sporo ludzi. Na apelu porannym, na końcu kolumny, coraz więcej zaczęło układać, nie mogących utrzymać się już na nogach, więźniów. Dogorywali oni nieraz już przed południem, nierzadko, przetrwali do wieczora. Zwłoki wkładano do drewnianych skrzyń, wynoszono do góry poza barak esesmański, gdzie pod skalną skarpą, zbudowana była szopa, w której je składano. Następnie wywożono do Sachsenhausen, gdzie w krematorium spalano. W końcu września, zostało nas już zdolnych do jakiejś takiej pracy około 75 więźniów. Rozeszły się pogłoski o mającym przybyć wkrótce nowym transporcie z Sachsenhausen. Słuchy te głosiły również, że nastąpi wymiana całego pierwszego transportu, którego stan liczebny topniał.

W pierwszych dniach października oznajmiono nam na apelu, że ciężko chorzy zostaną wkrótce, po przybyciu nowego transportu odesłani do Sachsenhausen. Byłem już wtedy bardzo wycieńczony, z trudnością przychodziło mi wychodzenie do pracy. Nogi puchły, dostawałem zawrotów głowy - jednym słowem - czułem zbliżający się koniec. Jeszcze tylko najwyżej parę dni i skrzynia drewniana.

W wojsku służyłem w lotnictwie, gdzie obowiązywały szczególne wymogi dotyczące idealnego stanu zdrowia fizycznego i psychicznego. Zacząłem gorączkowo myśleć jakiego użyć sposobu ażeby wydostać się z tego piekła. Przyszło mi na myśl, że jeszcze kiedyś, przed laty, przed służbą wojskową, miałem lekkie podrażnienie wyrostka robaczkowego. Chwyciłem się tej myśli i zacząłem budować pewien plan. Wiedziałem, że w obozie nie ma lekarza ani żadnej stacji diagnostycznej, w której można byłoby przeprowadzić badania krwi i inne ustalenia, niezbędne do postawienia właściwej diagnozy. Objawy zaś ataku ślepej кишки były mi na ogół znane. Czekałem teraz nocy. Leżąc już na swym posłaniu, zacząłem głośno jęczeć. Koledzy, tu i ówdzie zaczęli budzić się i uspakajać mnie, a nawet wręcz złorzeczyli, że przeszkadzam im spać. Ja jednak zacząłem po prostu wycić coraz głośniejsze, więc się niby z bólu, chwytając się za prawy bok, poniżej żeber. Zrobił się rejwach, przybiegł sztubowy, zapalono światło. Krzyczałem dalej. Sztubowy Fritze zaczął mnie bić po twarzy i ryczeć: "Was ist Los - bist Du verrückt geworden" /co się dzieje - oszalałeś/.

Ja nic, zwijam się i tarzam dalej z rzekomego bólu, a nieznając niemieckiej nazwy wyrostka robaczkowego krzyczę po polsku: "ślepa kiszka!, ślepa kiszka!" Koledzy przetłumaczyli Niemcowi "Wurmfortsatz" - /wyrostek robaczkowy/. Sztubowy jakąś zwilżoną szmatą, starał się wycierać mi czoło, oczywiście nie przestając przeklinać, zrobił mi nawet coś w rodzaju kompresu na prawy bok. Zacząłem się uspokajać. Jęczałem jednak nadal już tylko cichutko. Odegrałem chyba tę rolę po mistrzowsku. Nie miałem już jednak innego wyjścia. Nie ryzykowałem już niczym. Mogłem tylko - chociaż chwilowo - wygrać życie. Tak, jak kiedyś jedynym pragnieniem było wydostanie się z Sachsenhausen, tak teraz powrót do tego obozu stał się wymarzoną ideą szczęścia.

Na apelu porannym, zostałem przedstawiony Lagenführerowi, jako ten, który w nocy dostał silnego ataku ślepej кишки. Przedstawiono mu też, kilkunastu innych, ciężko chorych więźniów, utrzymujących się ledwo o własnych siłach na opuchniętych nogach.

Razem z nim, był też chyba jakiś sanitariusz es, gdyż dość szczegółowo wypytywał mnie o objawy nocnego ataku, innych zaś, o poszczególne przypadki ich schorzeń. Niektórych zapisywał na listę, innych wypędzał do formującej się kolumny roboczej. Zapisanych na listę było 19 osób, w tym również i ja. Sformowano z nas niewielką grupę, zaprowadzono przed barak i kazano czekać. Był to dzień 4 października 1940 roku. Z czwórki moich najbliższych towarzyszy, tylko Edek Węgorzewski zgłosił się z chorymi, lecz przez selekcjonującego esesmana został wypędzony do kolumny roboczej.

Staszek Kołodziejczak i Bolek Białek pracowali już przy budowie baraków i jako tako wyglądający, nie mieli szans do zapisania ich na listę ciężko chorych.

Stojąc, uformowani piątkami przed barakiem, zaczęliśmy cichutko wymieniać między sobą uwagi co do dalszego naszego losu. Nie były one jednak pocieszające. Szeptaliśmy, że mogą nas wywieźć do innego obozu, lub zagazować i spalić w krematorium. Optymiści zaś, łudzili się cichutko nadzieją o zwolnieniu do domu. Na takich rozmyślaniach upłynęło nam sporo czasu. Obóz żył dalej "normalnym" życiem.

W kuchni gotowano obiad, nieliczni więźniowie uwijali się przy robieniu porządków, pomocy w kuchni, zmianie wody w korycie, zaś plac budowy huczał krzykami, klątwami i wyzwiskami.

Wtem od strony osady Gross-Rosen, na drodze prowadzącej do obozu, ukazała się w tumanach kurzu, kolumna samochodów obciążonych brezentowymi pladkami i zaczęła zbliżać się szybko w naszą stronę. Przed barakiem esesmańskim wszczął się ruch - oddział uzbrojonych wartowników pomaszerował do bramy w drucie kolczastym, przy wejściu do ogrodzenia. Samochody kolejno zatrzymywały się przed bramą. Zaczęto odchyłać plandeki. Zobaczyliśmy ludzi ubranych w pasiaki, na ogół wynędzniałych już, lecz nie w takim stopniu co my. Samochody zaczęto opróżniać i z więźniów formować grupę w kolumnie piątkowej. Był to drugi transport z Sachsenhausen liczący około 150 osób.

Po przeliczeniu więźniów wprowadzono poza ogrodzenie, gdzie rozpoczęto zwykłe, obozowe czynności porządkowe.

Nie mogliśmy z nimi rozmawiać, gdyż przybyła w tym transporcie już większa grupa Niemców z zielonymi "winklami" /trójkątami/, obejmowała swoje nadzorcze czynności wrzeszcząc i tłukąc naokoło wszystkich, którzy popadli im pod rękę. Dźwięk wiszącej koło kuchni szyny oznajmił przerwę obiadową.

Zaraz też, przemaszerował do obozu niewielki już oddziałek, stanowiący resztki pierwszej naszej setki, przybyłej tu w dniu 2 sierpnia 1940 roku. Smutny to był widok. Wymizerowane i wyniszczone postacie, okaleczone i okrwawione, ledwie powłócząc nogami wchodzą do ogrodzenia obozowego z obowiązkowym "willkommen frohe Snger" na ustach.

Patrząc na to, doznałem tak niewymownego bólu, ogarnęła mnie taka głęboka depresja, że aż na zbiedzoną i wynędzniałą twarz, polały się z oczu łzy. Ogarnęła mnie beznadziejna rozpacz. Wiedzieliśmy przecież od "postów" /posterunków/ o rozwoju sytuacji politycznej w Europie. Wiedzieliśmy o klęsce Francji i o wielkich tryumfach hitlerowskiej potęgi. Jednak gdzieś w mojej podświadomości tkwiła ciągle iskra nadziei. Wierzyłem głęboko, że faszyzm musi ponieść klęskę - zło musi zostać pokonane.

Z urywków zdań, wymienianych z nowo przybyłymi, dowiedzieliśmy się, że do Sachsenhausen przybywają nowe transporty. W drugiej połowie sierpnia, tuż po naszym wyjeździe przywieziono dużą grupę Polaków, składającej się głównie z młodzieży gimnazjalnej i studenckiej, przedzierającej się masowo w zimie i na wiosnę 1939/40 roku, poprzez Słowację i Węgry do wojska polskiego we Francji. Znaczna część tej młodzieży została schwytana na przejściach granicznych, lub już na obcych terytoriach i przekazana gestapo. Po dłuższych przesłuchaniach i pobycie w więzieniach umieszczano ich w obozach koncentracyjnych. Wśród przybyłej właśnie do Gross-Rosen grupy znajdowało się kilkunastu tych "turyistów", jak później nazywano ich w obozie.

Wydano obiad, najpierw dla grupy roboczej, następnie nam, potem nowo przybyłym. Nam nadal nie pozwolono na rozejście się. Staaliśmy ciągle na placu przed barakiem. Około godziny drugiej po południu przybyła grupa esesmanów z Lagerführerem Thumannem na czele. Oznajmił on nam, że zostajemy wysłani do Sachsenhausen, do szpitala obozowego, a po wyzdrowieniu wrócimy tutaj. Biada temu, jeśli zostanie stwierdzone, że jego schorzenia są symulowane.

Było nam wszystkim już to obojętne. Byle stąd wyjechać. Byle uciec jak najdalej od tego ponurego pustkowia, gdzie w przeciągu dwóch miesięcy, została wymordowana w bestialski sposób, znaczna część naszych towarzyszy, przybyłych tu pierwszym transportem.

Kazano nam ładować się do samochodów, stojących przed ogrodzeniem, które przywiozły tutaj, naszych nieszczęsnych następców. W przelocie, zobaczyłem jeszcze Edka Węgorzewskiego, jak ze łzami w oczach, kiwnął mi ręką na pożegnanie.

Odjeżdżaliśmy z tego piekła. Jakaś niewypowiedziana ulga ogarnęła nas wszystkich. A wiedzieliśmy przecież, że jedziemy również do obozu. Ale teraz Sachsenhausen wydawało nam się rajem, w stosunku do tego, co przeżyliśmy tutaj.

Pozostał już za nami obóz koncentracyjny Gross-Rosen, pozostały za nami 64 dni przeżyte w tym obozie. A każdy z tych dni, był walką o życie, walką o przetrwanie, okupiony własną krwią, głodem, znojem i niezwykłym hartem ducha.

x x x

Wracaliśmy tą samą drogą, którą jechaliśmy tutaj, do Gross-Rosen. Skierowano nas wszystkich, po przybyciu do Sachsenhausen, do "revieru" szpitala obozowego dla więźniów.

Z dziewiętnastu przybyłych z Gross-Rosen, po kilku dniach zmarło siedmiu. Dwunastu, po krótkim pobycie w szpitalu, zostało skierowanych do dużego obozu, z przydziałem do różnych grup roboczych. Zostałem przydzielony "na blok" /do baraku/ nr 46 z przydziałem do jednego z najcięższych "kommand" /grupa robocza/ "Kanalkommando". Wyładowywałem z barek cement, wapno i żwir oraz inne materiały budowlane.

W obozie tym, przebywałem bezmała pięć lat.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.80.



Tomaszów Mazowiecki, 16 lipca 1940 roku.

W tym dniu wyprowadzono z więzienia aresztowanych, załadowano do pociągu i w zbórczym transporcie z więzienia Częstochowy, Radomia, Kielc, Piotrkowa Tryb. dowieziono około 1500 osób do Sachsenhausen. Zdjęcie wykonano konspiracyjnie przez nieznanego fotografa z okna miejscowej poczty. W grupie esesmańskiej rozpoznany Niemiec, Betich-miejscowy rzeźnik.

(Ze zbiorów Stanisława Wójciaka) Nr archiwum 1.2.7.

W PIERWSZYM TRANSPORCIE Z SACHSENHAUSEN DO GROSS-ROSEN

Aresztowany zostałem w Tomaszowie Mazowieckim 12 czerwca 1940 roku w grupie 298 mężczyzn. Miałem wówczas 20 lat. Po ukończeniu śledztwa pod eskortą pociągiem w dniu 17 lipca dowieziono nas do Sachsenhausen. Już przy wysiadaniu z pociągu byliśmy mocno pobici, bowiem wagony stanęły na nasypie i musieliśmy skakać z 3-metrowej wysokości na ziemię, co powodowało upadki, a więc i okazja do bicia. W obozie otrzymałem numer 28142 przydzielony na blok 39. Pierwsze dni w obozie to kwarantanna a przy tym znęcanie się nad więźniami np. skakanie żabki.

Po dwóch tygodniach znalazłem się w 100-osobowej grupie więźniów, a wśród nich: dwóch Niemców i jeden Żyd, reszta sami Polacy. Załadowano nas do samochodów po 25 i 5 esesmanów eskorty w każdym samochodzie. Był to 2 sierpnia 1940 roku, gdy przewieziono nas do obozu Gross-Rosen.

Zastaliśmy tu jeden barak podzielony na 6 sztab. W jednej sztabie umieszczono nas po 16 lub 17 osób. Na pierwszej sztabie było dwóch Niemców. Ja byłem na sztabie czwartej z Ryszardem Hibnerem, Józefem Ogórkiem, Raczyńskim, Zającem, Ciszewskim Franciszkiem z Piotrkowa, Marianem Brachackim oraz Wincentym Nó kowskim, z którym spałem. Na innych sztabach byli Ogłuszko Henryk, Kapuściński Antoni, Kot Franciszek, Białek Bolesław, Czajka - stolarz, Stanisław Wiśniewski, Czesław Wawrzyńczyk, Białecki, Lis, Wądołowski Stanisław, Heim Henryk, który po powrocie z Gross-Rosen do Sachsenhausen rzucił się na druty. Byli też Krawczyk Henryk, Lange Stanisław, Piwowski Marian - z Hamburga.

Na placu były 4 wieżyczki strażnicze dla "postów". Plac obozowy był ogrodzony siatką i zasiekami z drutu. Poza obozem był jeszcze jeden barak dla esesmanów. W szczycie baraku - stała kuchnia polowa, w której tych dwóch Niemców gotowało jedzenie. Po lewej stronie bramy, jak się wchodziło, zrobiliśmy koryto na wodę długości 8 - może do 10 metrów, wysokie na 50 cm i szerokie 50 cm. Wody nie było. Dowożono ją przez cywilów w dużym blaszanym pojemniku. Wodę tę dostarczano 2 razy w tygodniu w środy i soboty. Wlewano ją do koryta przez druty. W korycie myliśmy się i do picia była ta sama woda. Piliśmy brudną wodę filtrując przez czapki. Przy korycie był wykopany dół głęboki, do którego była wylewana woda z koryta. W tym dole topiono więźniów - jako pierwszy był utopiony Żyd z Tomaszowa Landzberg.

Pracowałem z Cichockim Franciszkiem przy fundamentach pod nowe bloki. Myśl o ucieczce nie dawała mi spokoju. Namówiłem Cichockiego, żeby mnie zamurował. Prosiłem też Cichockiego, żeby zalał mnie cementem zabezpieczając niewidoczny otwór do oddychania, a w nocy bym uciekł. Początkowo się zgadzał, lecz później zrezygnował. Na nic moje plany. Pierwszym, który uciekł z obozu był Stanisław Matuszewski z Tomaszowa, jednak pod lasem został zastrzelony.

Życie w obozie było bardzo ciężkie nie do zniesienia. Pano-
wała epidemia czerwonki. Jako pierwszy zachorował Kapuściński
Antoni. Jedynym ratunkiem był węgiel drzewny spod kotła. Również
i ja zachorowałem na czerwonkę i tak samo się ratowałem podkra-
danym z kuchni węglem drzewnym.

Drugi transport więźniów około 150 osób przybył 18 lub 20
sierpnia 1940 roku. W tej grupie było dwóch Żydów i Niemcy win-
klami zielonymi, czarnymi i czerwonymi. Również było kilku Cze-
chów.

Za barakiem wykopaliśmy dół, który służył jako klozet. Wi-
działem jak jeden Ślązak, który nosił winkiel niemiecki z dru-
giego transportu został utopiony w tym dole klozetowym.

Ja też z kolegą Lisem zostałem raz wrzucony do ustępu, któ-
ry był zrobiony na miejscu pracy poza obozem. Ja do kolan zabru-
dzony uciekłem, a Lisa bili tak długo, że poszedł na postkinketę
i został zastrzelony.

Murarskimi robotami kierowali dwaj cywile, ślązacy - ojciec
i syn, którzy przychodzili z wolności. Ja z Hibnerem i 10 innymi
więźniami w sobotę robiliśmy w jadalni cywilnej porządkę. Pra-
cownicy cywilni pozostawiali tam dla nas zawsze coś do jedzenia.

O naszych losach często decydował przypadek, zdarzyło się,
że esesmanowi wpadła gęś w druty, więc rozerwał mu się mundur.
Zawołał wtedy głośno: Schneider zgłoś się. Podszedł Wiśniewski
i od tego czasu został w obozie Krawcem.

W dalszym ciągu pracowałem przy fundamentach pod baraki.
Pracowaliśmy wtedy poza ogrodzeniem za bramą obozową, kończąc
pracę nie byliśmy liczeni, dopiero na placu apelowym. I znów
pomyślałem o ucieczce. W odległości 200 m stała szopa, w której
była słoma, postanowiłem się dostać do niej i skryć. Tak też
zrobiłem. W tym czasie padał duży deszcz. Pech chciał, że wtedy
policzyli więźniów na miejscu. Wykryto moją nieobecność, a póź-
niej znaleziono. Jak byłem wtedy zbity to trudno opisać. Za ka-
rę dostałem 8 dni stójki pod bramą po zakończeniu pracy od 6 do
9.30 wieczorem. Trzy dni bez kolacji i do karnej kompanii, w
której było już trzech więźniów. Odstałem 7 dni, a ósmego dnia
nie poszedłem. Za karę dostałem dalszych trzy dni stójki.

Stoję pod bramą po tej stronie kuchnia polowa. Jestem cho-
ry na czerwonkę. Zrobiło się ciemno - jest 3 września. Zakradam
się pod kocioł by skombinować drzewny węgiel. Cień szczytowy ba-
raku zasłania mnie.

Później stoję i rozmyślam nad swoim losem, jak się stąd wy-
dostać?

Myślałem wtedy o więźniach jak tam wszyscy utrudzeni śpią.
W oczach mam widok jak topią kolegę w tym dole, co schodzi brud-
na woda z koryta.

Wtem, w świetle światła reflektora ukazał się esesman uda-
jący się na zmianę posterunku na wieży strażniczej. Widząc mnie
odezwał się zrozumiałem że pyta on ile mam lat. Odpowiedziałem
że 18 /choć faktycznie miałem 20/. Na to esesman już po śląsku:
"pierunie toś sobie nawarzył piwa, chciało ci się ucieczki".
Opowiedziałem, że jestem chory na czerwonkę, że ze mnie wychod-
zi zburzona krew. Teraz już ci powiem - mówi esesman - o tobie
gatka, że już będziesz wykończony. Jutro przyjdzie transport
250 chłopów, będzie zabierał 25 muzułmanów do Sachsenhausen.
Wyjdziesz stąd. Rzucił mi przez druty kromkę chleba i mówił dalej.

Jak zmiennik mój będzie schodził tyłem po drabinie to chleb podnieść, a innych się nie bój bo za barakiem ciebie nie widzą. Podziękowałem jemu, a on odchodząc powiedział "jedź z Bogiem".

Rano może był to 4 może 7 września 1940 roku skoro świt jest transport 250 osób. Był to trzeci transport. "Mój post" jest i do mnie mruga. Ładują już mułżumanów. Staram się również cudem wejść do samochodu, lecz od drugich esesmanów dostaję bicie i kopniaki - odpędzają "na sztubę marsz" i znów kopa. Ale ja wciąż natrętnie krążę, aż podbiegł więzień z pierwszego transportu Niemiec, którego nazwaliśmy "Pecia" i wrzucił mnie do samochodu. Byłem już 15-ty, za chwilę odliczono 25-go i usłyszałem zbawczy rozkaz abfahren!.

Wydostanie się z Gross-Rosen zawdzięczam esesmanowi, nazywał się Ielzak i Peci - niemieckiemu więźniowi.

Wróciliśmy do Sachsenhausen. Była godzina 11 wieczorem. Do rana byliśmy na żydowskim bloku. Razem ze mną przyjechał też Wądołowski Stanisław i Brochacki Marian.

Zostałem skierowany na rewir drugi, gdzie mnie badano. Otrzymałem zastrzyki i pastylki. Leki doustne nie połykałem, lecz gdy odeszli do innych więźniów wypluwałem. Po tych zastrzykach zmarło kilku więźniów Niemców, z Tomaszowa umarł Żyd Eismen - grabarz i Strecel Marian. Z mego transportu zmarło też kilku księży.

Na rewirze przebywałem do 15 października 1940 roku. Wydostał mnie z rewiru Niemiec Reinold Czajka, który siedział w obozie 6 lat. Miał numer 10848 winkiel czerwony /aresztowany w 1933 roku. Urodził się 29.09.1909 roku we Wrocławiu, był robotnikiem. W dniu 25 października 1944 roku przetransportowano go do obozu w Mauthausen - numer 108505 i dnia 12 marca 1945 roku zabili go esesmani/.

Nie sposób opisać, ile razy jeszcze w ciągu lat krążyłem w tańcu ze śmiercią. Ile trudu i pracy zniosłem, ilu przyjaciół pozostawiłem w Gross-Rosen i Sachsenhausen, gdzie doczekałem wyzwolenia.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.81.


Meine genaue Anschrift:

Gefangenschaft

Stanisław Wójciak

Nr. 28142 Bld 46A.

geb. 27. III. 1920

Oranienburg

Kaiserwaldlager bei Berlin.

W tym liście pisanym do matki Anny, Stanisław Wójciak dał znak istnienia po szczęśliwym wydostaniu się z Gross-Rosen.

Nr archiwum 1.5.3.85.

BYŁEM PIERWSZYM WIĘŹNIEM GROSS-ROSEN

W lipcu 1940 r. w obozie Oranienburg, gdzie na kwarantannie przebywało kilka tysięcy polskich więźniów, rozeszła się pogłoska o wysłaniu grupy fachowców budowlanych na jakieś roboty. Dokąd? nie wiedzieliśmy. Wśród więźniów rosło zaniepokojenie co to za roboty?

Sytuacja w tym obozie była bardzo przykra, gdyż przez kilkanaście godzin na dobę kazano ludziom stać na baczność, to znów śpiewać po niemiecku albo liczyć. Przekonano się wówczas jak straszną rzeczą jest bezczynność. Ludziom puchły nogi, dostawali szoku nerwowego.

Pewnego popołudnia niedzielnego zarządzono zbiórkę dwóch polskich bloków 39 i 40 i powiedziano: kto chce być Niemcem ten niech stanie na prawo, a kto Polakiem na lewo. Po pewnym wahaniu wystąpiła mała grupka i stanęła po prawej stronie wśród nich redaktor b. Dziennika Polskiego działacz OZONU ob. Kalwary i pewien młody człowiek /nazwiska nie pamiętam/ zwany Hiszpanem. W szeregach nastąpiła konsternacja. Instyktownie czuliśmy jaki los czeka Polaków, lecz mimo to nasze szeregi stały nieporuszone. Wtedy to grupa ludzi, którzy chcieli zostać Niemcami, kazano iść na blok i spokojnie jeść kolację, nam zaś urządzono tańce - św. Wita. Przez 2 godziny poniewierano nas po ziemi usypanej szlaką, rolowano do nieprzytomności, bijąc i kopiąc nielitościwie, /sam odczułem kopnięcie w chorą nerkę/ a esesman usiadł na oknie i strzelał, jak do kaczek. Capo i inni esesmani deptali po ludziach, jak po sianie. Rezultaty tej zabawy były okropne, na ziemi pozostało kilku na śmierć zamęczonych ludzi.

Nic dziwnego, że po takiej zabawie fachowcy zgłosili się do transportu na roboty. Nie wiedzieli jeszcze wtedy, jaki ciężki los wybrali.

2 sierpnia o godz. 8 wyruszyło w nieznane 98 Polaków i 2 Niemców - capo i kucharz, na czele z podoficerem Antonem Tumanem. Towarzyszyło tej grupie kilkudziesięciu esesmanów /ze sforą psów/ załadowanych na 5 samochodów ciężarowych. Jechała też kuchnia polowa i skromny prowiant.

Przejeżdżaliśmy przez Berlin, ale nie pozwolono nam wyglądać z budy samochodu.

O godz. 18 zajechaliśmy na miejsce. To, co ujrzelśmy było straszne - kamieniołomy, a więc mieli rację więźniowie niemieccy, którzy przepowiadali nam taki los. Po kilkunastu minutach postoju ruszyliśmy w dalszą drogę. Po pewnym czasie wozy znów stanęły. Ujrzelśmy samotny mały barak, okolony drutem kolczastym z 4 wieżyczkami wartowniczymi. W jego sąsiedztwie, ale poza drutami stał podobny barak - jak się potem okazało - /dla esesmanów/. Nadeszła noc. Mieliśmy tylko po 2 koce, ale co było robić? Położyliśmy się na gołej podłodze. Zasypiając nie wiedzieliśmy jeszcze, że przyjdzie nam budować ciężki obóz pracy dla tysięcy naszych braci.

Jedyną pociechą było to, że pozwolono nam mówić po polsku. Cała grupa, przeważnie ludzie wywiezieni z województwa łódzkiego, przyrzekła sobie tej nocy braterstwo. Poczuliśmy się jak jedna rodzina.

Następnego dnia zbudzono nas o 3 nad ranem. Po napiciu się kawy /chleba nie mieliśmy/, ustawiono nas piątkami, otoczono esesmanami i sforą psów. Do ręki dano nam kilofy, łopaty, i taczki. Tak "uzbrojeni" ruszyliśmy za bramę. Kazano nam kopać fundamenty w skale pod bloki 2,3 i 4. Blok 5 budowali już Niemcy. Praca trwała od świtu do nocy tak długo, dokąd wartownicy widzieli do kogo strzelać. Ciężka praca i sierpniowy upał dawał się nam niesamowicie we znaki. Ludzie łaknęli wody, ale jej nie było. Ta w zbiorniku służyła tylko po to, by wrzucić każdego, kto zemdleł przy pracy i tak długo kąpać aż wyzionął ducha. Straszono nas także, że taki los spotka każdego, kto będzie uchylał się od pracy. Mimo skwaru nie było mowy o choćby chwilowym odpoczynku. Nad głową stał esesman z batem i tylko na to czekał. Na plecy, głowę, gdzie popadło - spadały wtedy razy.

W takich to warunkach więźniowie pracowali przy budowie obozu zwanego przez nas obozem śmierci. Toteż nic dziwnego, że szeregi szybko topniały. Miejsce tych, którzy nie przetrzymali ciężaru robót zastępowano nowymi ludźmi z nadchodzących transportów.

W ciągu 1940 roku, co miesiąc przebywało ok. 200-400 nowych więźniów by utrzymać stan potrzebny do pracy.

Pierwszych więźniów z braku krematorium, chowano w trumnach. Niemcy jednak szybko z tego zrezygnowali, gdyż drzewo było drogie. Zadręczonych na śmierć ludzi wywożono samochodami. Dokąd nie wiedzieliśmy.

Do stycznia 1941 r. rodziny nie miały najmniejszej wiadomości o losie więźniów z Gross-Rosen. Dopiero w końcu grudnia 1940 r. pozwolono nam napisać listy. Nie wszyscy jednak znaleźli tyle silnej woli by to uczynić. Za zdobycie znaczka pocztowego płaciło się bowiem dzienną porcję chleba z dodatkami. A to dla wielu wycieńczonych ludzi było zbyt wielkim poświęceniem.

Wiosną 1941 r. po wybudowaniu 4 bloków obóz powiększono do 400 więźniów, w związku z tym Gross-Rosen przestał być Kommandem Oranienburga, a stał się obozem samodzielnym. Komendantem jego został Antoni Tuman. Więźniowie otrzymali nową numerację. Numery od jednego do stukilkunastu otrzymali Niemcy i Czesi, wyższe - Polacy. Od tego czasu obóz rozrósł się, gdyż co miesiąc przychodziły nowe transporty więźniów. Jak ciężki to był obóz świadczyć może choćby to, że przysyłano tu nawet karne kompanie Niemców z Oranienburga. Esesmani mieli z nimi dużo roboty, bo więźniowie ci masowo rzucali się na granicę posterunków. Padały strzały. Ale ludzie woleli niekiedy śmierć, niż męczarnie w tym obozie. Zesłanie do Gross-Rosen było postrachem w innych obozach.

Esesmani strzelali jak do kaczek, zwłaszcza odkąd za zabicie więźnia otrzymywali w nagrodę kilka dni urlopu. Zdarzało się, że esesman chciał pojechać na urlop. Namawiał wówczas Capo, by sprowokował więźnia. Capo wybierał jakiegoś Polaka, rzucał czapkę i kazał mu po nią iść. Więzień nie miał wyboru, wiedział, że jeśli nie przyjdzie, to i tak go Capo zamorduje, szedł więc biedak na pewną śmierć, a esesman na urlop. Capo dostawał za tę "przysługę" papierosy.

Lata 1940-1941 należały do bardzo ciężkich. W obozie nie było żadnych urządzeń sanitarnych. Wodę dowożono zaprzęgniętymi do beczkowsu wołami. Starczało więc jej zaledwie na potrzeby kuchni.

Rano myliśmy twarz, ręce, nogi i miski po jedzeniu w korycie zbitym z desek i wyłożonym papą. Wyglądało to tak, że ostatni więźniowie myli się już nie w wodzie lecz w błocie.

Golenie odbywało się obowiązkowo co tydzień. Żyłką osadzoną na patyku golono nie tylko twarz, lecz i głowy, ponad 20 ludziom. Jakie były tego skutki trudno opisać. Człowiek wychodził po goleniu jak z rzeki. Był cały we krwi. Nieco później zaprzestano golenia głów. Golono tylko pasy wzdłuż głowy na szerokość 2 palców. Ludzie przypominali wtedy koguty z grzebieniem na środku głowy. Ten system golenia zastosowano na wypadek ucieczki więźnia. Okoliczna ludność niemiecka rozpoznabyła go bez przeszkód.

Nie lepiej wyglądała kąpiel. W każdą sobotę w nocy rozbierano więźniów do naga nie pozwalając się ubrać trzymano ich w bloku po kilka godzin. Następnie wypuszczano grupami po 8-10 ludzi do innego bloku, odległego o jakieś 200 metrów. Stał w nim żelazny zbiornik napełniony wodą. Kąpali się w nim wszyscy. Ostatni oczywiście znów w błocie. Po takiej kąpeli wracaliśmy nadzy do swego bloku. Tu dopiero wydawano nam bieliznę. Dobrze gdy cotygodniowa kąpiel kosztowała tylko nieprzespaną noc. Ludzie słabsi schorowani nie wytrzymywali jednak zimą przy kilkunastu stopniach mrozu tej "spartańskiej" zabawy. Rezultatem była znów duża śmiertelność i choroby. Ale Niemców to nie obchodziło. Nadchodziły przecież nowe transporty, nie brakowało zatem rąk do pracy...

Czystości w blokach przestrzegano również z całą skrupulatnością. Budzono ludzi o 4 rano - latem znacznie wcześniej. Rozpocynało się ścielenie łóżek. Szczęśliwy był ten, który go nie miał i spał na podłodze. Bo łóżko musiało wyglądać jak pudełko od zapalek. Złe zaścielony brzeg poszewki, groził pozbawieniem śniadania, biciem lub nawet śmiercią.

Codziennie też myliśmy okna i podłogi. Kontrolujący nas esesman sprawdzał czystość białą chusteczką. Wystarczyło, by znalazł na niej ślady brudu, na wykręconej żarówce, czy też na listwie podłogowej. Zaczynał się wówczas taniec Wita. Cała sala otrzymywała karne ćwiczenia, podczas których bito i poniewierano ludzi do utraty przytomności.

Stosowano przysiady, rolowanie, kaczy chód lub przysiady ze stołkiem w ręku. Tak wymęczonych ludzi po wypiciu kubka kawy pędzono do kamieniołomów lub budowy obozu.

Wyżywienie więźniów składało się jedynie z miski zupy jarmużu, brukwi lub liści buraczanych. Do przysmaków należała pokrzywa, jeśli znalazł się w niej kartofel. Po za tym otrzymywaliśmy porcję chleba, kosteczkę margaryny, plasterek kiełbasy no i pół litra kawy. Przy takim wyżywieniu i równoczesnej ciężkiej pracy, śmiertelność i zachorowania były masowe. Tragedią był brak rewirów /szpitali/. Założono je dopiero pod koniec 1941 roku. Wcześniej można było być w obozie tylko zdrowym lub umarłym. Chory więzień mógł otrzymać zamiast pomocy jedynie wiadro wody na głowę lub kilka uderzeń trzonkiem od szpadla lub kilofa, którym bito najczęściej. Specjalistą od tego był capo Hary Lipiński i jemu podobni.

Te sprzyjające warunki wykorzystywała spora grupa Niemców pełniących rolę capo i blokowych. Chcieli żyć lepiej niż my. Nic też dziwnego, że zameldowali codziennie przy łada okazji kilkunastu zmarłych więźniów, by otrzymać za nich ich porcje żywnościowe.

To stało się regułą, na którą esesmani przymykali oczy. To też codziennie przy bramie capo meldując więźniów powracających z pracy zgłaszali 8 czy 10 nieżywych. Często esesmani lub sam komendant wołał, że to za mało, że musi być więcej. Nic też dziwnego, że co dnia ubywało ludzi.

Na noszach mogły być setki martwych, ale biada więźniom, gdy zabrakło choć jednego żywego. Wtedy cały obóz ustawiano w szereg i choćby to miało trwać 3 dni bez względu na pogodę. Ludzie stali oczywiście bez jedzenia, słaniając się na nogach, a esesmani często z pomocą capo i blokowych /Niemców/ szukali zbiega. Rezultat takiego stania był dla więźniów tragiczny. Toteż nic dziwnego, że więźniowie pilnowali jeden drugiego.

Dla wolności jednego człowieka nie wolno było narażać setek i tysięcy więźniów na cierpienia. Ucieczki zresztą poza jednym wypadkiem nie udawały się.

Uciekinier odnaleziony przez Niemców chodził z tablicą na plecach przy dźwiękach orkiestry: "wszystkie ptaszki są w obozie". Potem ginął na szubienicy na oczach wszystkich więźniów. Do bardzo srogich kar należało publiczne bicie batami. Wymierzano najpierw 50 uderzeń, a gdy więzień się nie ugiął jak np. Rosjanie i nie krzyczał - otrzymywał drugą, a nawet trzecią porcję batów aż skonał z bólu. Gorszą karą było wieszanie za ręce związane do tyłu. Oprawcy czekali godzinę i więcej. Na ogół kary te zwykle kończyły się śmiercią. Ręce tego kto przetrzymał nie były jednak zdolne do pracy. Wisiało tak nieraz po kilkunastu więźniów jednocześnie. W takich oto okolicznościach obóz rozrastał się, przywożono nowe ofiary.

Pamiętny był zwłaszcza transport Rosjan w sierpniu i wrześniu 1941 r. Codziennie o godz. 18 więźniów wpędzano do obozu ustawiano przy blokach i kazano głośno śpiewać. Równocześnie za jeżdżało kilka karetek więziennych z oficerami radzieckimi. Czujne ucho więźniów mimo zbiorowego śpiewu, słyszało salwy karabinowe. Następnego dnia, po wyjściu do pracy poza teren obozu widziano skrwawione mundury oficerów radzieckich, suszące się na polu.

W nocy 13 czy 15 października ustawiono specjalne warty przy blokach, by więźniowie nie mogli wyglądać. Coś wisiało w powietrzu. Nasze zdenerwowanie nie miało granic. Domyślaliśmy się jakiegoś specjalnego transportu - gdy wcześniej budowano nowe bloki. Odgradzał je od naszego obozu kolczasty drut. Bloki jednak nie były jeszcze całkowicie wykończone.

Potem usłyszeliśmy jęki i przekleństwa w języku rosyjskim. Rano, gdy pozwolono nam wyjść z bloku ujrzelśmy za drutami wstrząsającą sceny. Głębokie rowy, w których miano układać rury kanalizacyjne przykrywał śnieg. Śnieg ten ruszał się jednak, gdyż pod nim było 2,5 żołnierzy radzieckich. Zmarznięci pochowali się do rowów, aby się choć trochę rozgrzać. Niemcy trzymali ich w tych rowach prawie 3 dni, dopóki nie ogolono wszystkich i nie umyto. Potem położono ich nago na gołej podłodze jeden obok drugiego, tak ciasno, że między nich nikt palca nie włożył.

Ci, których widzieliśmy w rowach czekali na swoją kolejkę. Było wśród tych żołnierzy wielu martwych. Niekiedy kręcił się koło nich ktoś w gorączce, potem kładł się wśród swoich i konał.

W ciągu niespełna dwóch miesięcy z tych 2,5 tysiąca ludzi pozostało przy życiu ok. 150, zaś do wyzwolenia przetrwało z tego transportu tylko 11. Reszta zmarła śmiercią głodową, gdyż zamiast otrzymywać bocheneczek chleba na czterech jak dostawali inni więźniowie, im miał wystarczyć na szesnastu. Jarmuż lub buraczane liście, z których gotowano dla tych ludzi zupę, kładziono do kotła widłami, ziemniaków nikt nie obierał, gotowano je bez kszty okrasy nawet często i bez soli.

Tłumaczono, że kuchnia nie podoła na tylu ludzi. Ze skromnych racji żywnościowych tych więźniów żyła jeszcze cała zgraja capo i blokowych.

Później nadeszły duże transporty Rosjan i Polaków. Potworzono oddzielne bloki dla poszczególnych narodowości. Odseparowano wtedy od nas Niemców, dokuczali nam przy lada okazji. Byliśmy teraz swobodniejsi, chociażby rozmawiając w ojczystym języku.

Pewne odprężenie nastąpiło dopiero w roku 1943, kiedy zezwolono więźniom na otrzymywanie paczek żywnościowych. Ci, do których nadeszły mogli podreperować nadwątłone siły i pomóc kolegom. Oczywiście skorzystali teraz także esesmani, którzy wykradali z paczek najlepsze kąski.

W 1944 roku gdy numeracja obozowa sięgała stu tysięcy a stan faktyczny nie przekraczał dwudziestu, Niemcy zaczęli ludziom z nowych transportów dawać numery po osobach wymordowanych.

Otrzymany numer więźniowie nosili na szyi na sznureczku poza tym mieli go malowany na bluzie i spodniach. Toteż gdy zarządzono numerację po zmarłych więźniach okazało się, że z pierwszego tysiąca ludzi, którzy byli w obozie od początku jego istnienia żyło tylko 17. Wszyscy oni jako cieni fachowcy, specjaliści byli Niemcom potrzebni, z następnych tysięcy ludzi żyło po kilku a czasem nikt.

Dane te opieram na oficjalnych listach, które otrzymywaliśmy do wybicia numerów. Przechowywano je w ścianie baraku nowego warsztatu. Niestety, po zniszczeniu obozu list tych nie można było odszukać.

Jest natomiast rzeczą bezsporną, że stan obozu /według numeracji/ w styczniu 1945 r. przekraczał 120 tysięcy więźniów. Przy ewakuacji obozu w pierwszych dniach lutego 1945 r., gdy ciągnięto wszystkie okoliczne komanda nie było więcej niż 30 tysięcy.

W styczniu, kiedy armia radziecka napierała a Niemcy rozpaczliwie bronili się we Wrocławiu odległym o 60 km od naszego obozu, przez wiele tygodni słyszeliśmy huk armat. Wstępowała w nas nadzieja na rychłe wyzwolenie. Niemcy ściągali komanda do obozu. Dzień i noc pędzono ludzi, którzy ciągnęli wozy z walizami esesmanów. Wszyscy ci więźniowie byli w stadium końcowego wyczerpania.

Obóz przygotowany na maksimum 12 tysięcy więźniów pomieścił około 30. Zrobiło się bardzo ciasno. Ludzie spali po 5 na jednym łóżku, zasypiali na stołach, podłozie w ustępach i gdzie się dało. Niemcy przestali panować nad sytuacją. Rozpoczął się głód, gdyż kuchnie nie były w stanie wyżywić ludzi. Przed 8 lutym wyruszyły z obozu pierwsze transporty chorych.

W jednym z nich brałem udział jako chory na zapalenie płuc

z 40,8 stopniami gorączki. Gdy zarządzono pierwszy transport nie kwapiliśmy się z wyjazdem, licząc na szybkie oswobodzenie. Dopiero po rozmowach z kolegami dowiedzieliśmy się, że cały oboz będzie ewakuowany, a chorzy którzy nie będą mogli iść w transporcie zostaną wymordowani i spaleni łącznie z barakami. Jak wieść niosła, wybrano już grupę bandytów niemieckich, z Foglem jako capo na czele, którzy mieli dokonać tego dzieła. Dłużej więc zastanawiać się nie było sensu.

8 lutego 1945 r. wyruszył transport chorych. Razem ponad 1500 ludzi. Dano nam na drogę po pół bochenka chleba, ustawiono w szeregi i po południu wyprowadzono na stację odległą o 3 km.

Droga do stacji była zasłana zmarłymi więźniami z poprzednich transportów. Niemcy zastrzelili tych chorych, którzy nie mieli sił iść dalej. Miało to być groźnym memento dla innych.

Na stacji zapędzono nas do otwartych węglarek. Po 100 ludzi do 10-tonowego wagonu. Każdą grupę eskortował jeden lub dwóch esesmanów. Tak oto w nocy wyruszyliśmy w drogę. Nie mieliśmy płaszczy, a nie wszyscy nawet mieli czapki, tak dojechaliśmy do Legnicy. Tutaj wywiązała się strzelanina między patrolem radzieckim, a esesmanami, kazano nam położyć się lub przykucnąć. Ale to było niemożliwe. Przy takiej ciasnocie ledwo starczyło miejsca dla stojących.

Po krótkiej wymianie strzałów wycofano nasz transport. I znów wróciliśmy do Gross-Rosen. Po godzinnym postoju ruszyliśmy w przeciwnym kierunku na Szttygał. Wieziono nas tak 7 dni - bez jedzenia i kropli wody. Tę samą trasę, można było przejechać w ciągu kilku godzin. Dowieziono nas do Nordchawren. Połowę więźniów umieszczono w fabryce, pozostałych zaś zawieziono do obozu Dora koło Wajmaru. Oczywiście, z połowy więźniów, którzy w dniu wyjazdu liczyli półtora tysiąca ludzi pozostało przy życiu niespełna 30 proc. Ludzie zmarli z głodu i zimna.

Więźniowie obozu Dora byli wstrząśnięci naszym wyglądem. Podobno tak wyczerpanych i wycieńczonych ludzi jeszcze nie oglądali. Słaniających się kolegów zaprowadzono do łaźni. Co się tam działo, trudno opisać. W obłokach pary ludzie deptali jeden po drugim bo wielu padało z wycieńczenia.

A przecież ci sami ludzie przeszli jeszcze podobny transport z Dory do Bergen.

Tak oto Niemcy pragnęli zatrzeć ślady swych zbrodni robili wszystko, by nie pozostawić przy życiu naocznych świadków.

Toteż gdyby nie brawurowy atak armii radzieckiej, który pokrzyżował Niemcom plany żaden więzień nie oglądałby klęski wrogów i wolności swego narodu.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.16.

Kommandantur
des Konzentrationslagers
Groß-Rosen

Groß-Rosen, den 19. November 1941

Der/die Unterzeichnete

hat sich mit dem/den Gefangenen
Warschau ordnungsgemäß auseinandergesetzt.

Entlassungsschein

III A3 T4

Der Witold Antoniewski

geb. am 26.4.1920

in Zabłotni

war in der Zeit

vom 4.11.1940 bis 19.11.1941

in einem Konzentrationslager untergebracht

Die Entlassung erfolgte am 19. November 1941

Seine Führung war zufriedenstellend

Auflage:

Sie haben sich bis auf Widerruf jeden Betrag
bei der Ortspolizeibehörde Ihres Wohnortes und sofort

bei dem Kommandanten der Sicherheitspolizei
und des SD in Warschau,
zu melden. - Strasse der Polizei 5



Der Lagerkommandant:

[Signature]

1. Obersturmführer.

Kopia dokumentu wydanego w obozie Gross-Rosen, zwalniając
z obozu z dniem 19 listopada 1941 roku. Od tego dnia
Witold Antoniewski przestał być więźniem Numer 106, jednak
z zaleceniem meldowania się w Komendanturze Policji w
Warszawie.

Nr archiwum 1.5.6.15.

Drugim znanym szczęśliwcem był Wojciech Kurmanowicz,
Numer 2318, zwolniony z obozu po bohaterskich staraniach
godnych opisanie w książce - jego żony dr Haliny.
Obaj zwolnieni szczęśliwie do domu powrócili i doczekali
wyzwolenia ojczyzny.